

Złoto nad Madre de Dios

Bardzo lubię Cusco, starą inkaską stolicę. Cusco to dla mnie najładniejsze miasto na świecie. Położone w niecodziennej scenerii, bo w śródgórskiej andyjskiej dolinie na wysokości 3400 m n.p.m., zasługuje na szczególną uwagę. Jest to jedno z najstarszych miast Ameryki. Założono je w 1100 roku, a w 1533 roku zostało zdobyte przez konkwistadorów hiszpańskich na czele z Franciskiem Pizarrem, a dwa lata później spalone podczas powstania Manco Capac. Na gruzach inkaskich świątyń Hiszpanie zbudowali nowe miasto.

Cusco urzeka swoją scenerią: wąskimi, stromymi uliczkami wijącymi się wzdłuż cyklopowych murów niższych partii domów, fragmentami świątyni słońca Coricancha, ruinami pałacu Monco Capac, barokowym kościołem Santo Domingo, zbudowanym na wielkich kamiennych murach starej świątyni Inków.

Tuż nad miastem górują ruiny wielkiej twierdzy Inków Sacsahuaman, a niedaleko stąd znajdziemy fortyfikacje Ollantambo i obserwatorium astronomiczne Kenko. W ciągu kilku godzin jazdy kolejką wąskotorową można dotrzeć z Cusco do tajemniczej, słynnej na całym świecie, osady Machu Picchu.

W Cusco byłem kilkakrotnie, ciągle odkrywając coś nowego. I gdy zastanawiałem się, co by tu jeszcze zwiedzić, podszedł do mnie stary znajomy, Indianin z wioski Tinka i doradził:

– Jedź do selwy, Señor Miguel, do dżungli. Przejedź przez Andy i potem spłynij dopływem Amazonki, wielką rzeką Madre de Dios do Pto Maldonado. To będzie duża przygoda.

Z pomocą przyjaciół z Cusco udało mi się skompletować niezbędny sprzęt: pożyczyłem wielką moskitierę i hamak, kupiłem repelenty przeciwko komarom. Wszystkim podróżnikom radzę zaopatrzyć się w środki antykomarowe w peruwiańskich aptekach; są skuteczne i działają prawie przez sześć godzin,

podczas gdy te nabywane u nas skutkują najwyżej przez kilkanaście minut.

Z Cusco wyruszyłem na pace wielkiej ciężarówki jeszcze przed wschodem słońca. Stary, niezawodny Bedford mozolnie wdrapywał się przepaścistymi serpentynami na andyjskie zbocza. Wielka ekspozycja, ziejąca tuż za burtami ciężarówki, nie robiła żadnego wrażenia na gromadce Indian Keczua, stłoczonych ze mną na workach pełnych ryżu i kukurydzy. Widać przywykli do takich widoków. Jazda przez góry trwała cały dzień i pół nocy. Po przejechaniu najwyższego wzniesienia dotarło do mnie, że zjeżdżamy do zupełnie nowego świata. Za nami zostało suche, chłodne górskie powietrze, a po dwóch godzinach jazdy w dół poczuliśmy ciepło i wszechobecną wilgoć. Wszystko wokół stawało się lepkie, zadawało się, że powietrze jest jakby cięższe. Droga wiodła w gęstym szpalerze drzew, czasami przejeżdżaliśmy przez wioski, otoczone plantacjami bananowców i drzew kauczukowych.

Dojechaliśmy do osady Shintuya, położonej na prawym brzegu górnego odcinka wielkiej rzeki Madre de Dios. O tym jak wielkie jest dorzecze Amazonki świadczy tylko krótki encyklopedyczny zapis o Madre de Dios: „Rzeka w Peru i w Boliwii, długość 1100 km, lewy dopływ Beni, jednej ze źródłowych rzek Madeiry”. A przecież Madeira jest jednym z wielu prawobrzeżnych dopływów Amazonki.

Shintuya to maleńka osada, sprawnie administrowana przez dwóch sympatycznych hiszpańskich misjonarzy. Misjonarze wraz z mieszkańcami zakasali rękawy i wspólnie wydobywają plony ze świeżo co wydartej dżungli ziemi. Z dumą pokazano mi okazałą plantację manioku, ananasów, bananów, papai i avocado. Czułem, że ci misjonarze tworzą z Indianami jedną wielką wspólnotę. Wszystkie zabudowania w wiosce, poza masywnymi budynkami misji, były zbudowane na palach.

Oczekując na transport, otrzymałem od misjonarzy propozycję udania się

do wioski położonej w górze rzeki.

– Tylko uważaj, nie wyruszaj powyżej wioski, gdzie mieszkają już tylko niecywilizowani Indianie, stamtąd jeszcze nikt nie wrócił. Ostatnie trzy wyprawy antropologiczne przepadły bez wieści. Tamtejsi Indianie bronią się przed naszą cywilizacją. Są przekonani, że ona nie przyniesie im nic dobrego.

Z duszą na ramieniu wyruszyłem na wąskiej łodzi w górę rzeki. Dostarczyłem do tamtejszej szkoły partię zeszytów. Szkoła – to zbyt wielkie słowo dla malutkiej platformy na palach, przykrytej prowizorycznym dachem z gałęzi palmowych. Uczęszczało do niej kilkanaścioro dzieci. Miejscowy nauczyciel, młody chłopak przysłany z Cusco, zwierzył mi się, że czuje się tutaj jak na zesłaniu na końcu świata.

Zostałem zaproszony do jednej z chat na poczęstunek. W środku pod moskitierą zobaczyłem leżącą, starszą kobietę. Gdy podszedłem bliżej spostrzegłem jej gorejące w wysokiej gorączce oczy i całkowicie czerwoną twarz.

– Co jej jest? – spytałem gospodarzy.

– Ona po prostu umiera – odpowiedzieli mi spokojnie i zabrali się do przygotowania posiłku.

Poczułem, że znajduję się w innej strefie kulturowej. U nas byśmy od razu pobiegli do lekarza, starali się o lekarstwa, walczylibyśmy o przedłużenie życia. Tam wygląda to zupełnie inaczej: jeżeli ktoś ciężko choruje, widać jego czas przyszedł, co znaczy, że nie należy przeciwstawiać się naturze. Tak zawsze było i tak ma być nadal.

Po dwóch dniach czekania w Shintuya na transport, dogadałem się z przewoźnikami, zaopatrującymi wioski poszukiwaczy złota. Popłynąłem z całą rodziną Indian Keczua, od lat zajmującą się handlem na tej rzece. Aż się nie chce wierzyć, cośmy wieźli w siedmiometrowej drewnianej łodzi. Na dnie leżało trzy

tysiące równo ułożonych butelek piwa, na butelkach zaś znajdowały się dwie warstwy worków z fasolą i mąką, z przodu łodzi załadowano kilkanaście świń, a na „śródookręciu” umocowano wielką klatkę z dwustoma żywymi kurczakami. Całości dopełniły sterty bananów i pęki świeżych jarzyn. Nie muszę dodawać, że po kilku dniach zapach na łodzi nie był zbyt przyjemny.

Rzeka była rwąca, ale łódź z mocnym silnikiem sprawnie lawirowała wśród wielkich drzew i pni, znajdujących się w nurcie rzeki. Po trzech dniach spływu Madre de Dios połączyła się z rzeką Manu i płynęliśmy po szerokiej wodzie. Najmilej wspominam rozmowy z indiańską rodziną podczas licznych biwaków na brzegu. Indianie mówili o swoim życiu, o kłopotach i radościach, o problemach z handlem na amazońskiej rzece, byli też ciekawi mojego życia. Byliśmy z tak odmiennych światów, a jednak znajdowaliśmy wspólny język.

Przez cały czas naszej podróży rzeka wiodła przez selwę, wiecznie zielony, wilgotny las równikowy. Odniosłem wrażenie, że ten tropikalny las, mimo wielkiej różnorodności drzew i poszycia, jest raczej monotony i mało barwny. Wielokrotnie zapuszczałem się w jego wnętrze i, wbrew opisom wielu podróżników, las był dość rzadki i widny. Prawdziwe gęste dżungle znajdowałem jedynie na miejscu opuszczonych siedzib ludzkich. Jednak tam gdzie były osady ludzkie, las odchodził od rzeki. Widziałem jego całe świeżo wypalone połacie, przygotowane do uprawy ziemi.

Podczas spływu rzeką zaprzyjaźniłem się z załogą i za sprzedanie mojego namiotu po korzystnej cenie dostałem kuszącą propozycję pracy przy kopaniu złota nad rzeką Colorado, prawobrzeżnym dopływem Madre de Dios.

Czwartego dnia przy płynęliśmy do maleńkiej osady, Banco Colorado, usytuowanej u zbiegu rzek Madre de Dios i Colorado. Zastaliśmy tam atmosferę, wypisz wymaluj, jak w opowieściach Jacka Londona w alaskańskim Dawson City podczas pamiętnej gorączki złota: na brzegu rzeki spelunki, bank,

dyskoteki, panienki o wszystkich odcieniach skóry. Zarośnięci poszukiwacze złota na bieżąco pozbywali się w tutejszym banku złotego piasku, wydawali otrzymane pieniądze, toteż nocami do późna rozbrzmiewała głośna muzyka. Osada tętniła życiem.

W Banco Colorado skompletowaliśmy cały sprzęt do wydobywania złota, w banku w depozycie zostawiłem cenniejsze aparaty fotograficzne, paszport i pieniądze. Podobno zdarzały się napady na kopaczy złota, toteż wolałem być ostrożny.

Po kilku godzinach płynięcia w górę rzeki dobiliśmy do piaszczystej łachy, tj. miejsca, gdzie moi towarzysze podróży, pochodzący z peruwiańskich andyjskich wsi, posiadali koncesje na kopanie złotego piasku. Przegoniliśmy krokodyle z plaży, rozstawiliśmy specjalną konstrukcję do sortowania złotego kruszcu: cały system ram, sit, drewnianych stołów i stojaków, uruchomiliśmy pompę z długim węzłem.

Jeszcze nigdy w życiu tak ciężko nie pracowałem. Przez kilka dni harowaliśmy od rana do wieczora w upalnym słońcu, jedynie z przerwą na sjęstę podczas największego upału. Do taczek ładowaliśmy piasek rzeczny, następnie wjeżdżaliśmy taczkami po pomostach z desek i wysypywaliśmy go do obramowanych sit, gdzie był polewany wodą z rzeki i stopniowo sortowany w całym przemyślnie ustawionym systemie sit, którymi bez przerwy potrząsano. Na dnie najrzadszego sita, na samym dole gromadził się drobnoziarnisty złoty piasek. Wyglądał jak pył.

Od razu było widać, że cały zespół nie ma do siebie zaufania. Wszyscy, łącznie ze mną, odczuwaliśmy emocje gorączki złota. Przez cały dzień nie spuszczaaliśmy z oka najmniejszego sita, gdzie gromadził się złoty piach. Dopiero wieczorem, po podziale urobku na dokładnej wadze, atmosfera się rozluźniła. Udało się nam trafić na wyjątkowo złotonośną plażę, bo na każdego z nas

przypadało po kilka gramów złota dziennie.

Nie było problemów aprowizacyjnych, moi towarzysze ze złotej plaży już drugiego dnia upolowali dużego tapira, codziennie na śniadanie przygotowywano duże żółte jaja z przyprawami. Moje protesty o wymowie ekologicznej były głosem wołającego na puszczy.

Niestety kończył się czas ważności mojego biletu lotniczego, musiałem wracać do kraju. Okazyjną łodzią dostałem się do Banco Colorado, odebrałem sprzęt z depozytu, sprzedałem też złoty piasek. Od urzędników z banku dowiedziałem się, że corocznie skupują ponad tonę złota. Żalili się na kaprysy rzeki, która bez przerwy podmywa brzeg i co kilka lat osada musi się przenosić na nowe miejsce. Spływając dalej w dół rzeki do Pto Maldonado, obserwowałem wielkie spustoszenie na brzegach rzeki. Niezliczone rzesze poszukiwaczy złota przekopywały plaże. Choć wielu z nich pracowało tradycyjnie, przesiewając piasek za pomocą metalowych talerzy w rzece, można było również dostrzec liczne bagrownice, wydobywające piasek wielkimi czerpakami.

Gdybym miał tam wrócić, chyba bym się nigdy nie zdecydował na ponowną harówkę pod upalnym słońcem. To złoto jest przecież sptukiwane z gór. Czyż nie lepiej byłoby pojechać powyżej źródeł rzeki i na zboczach andyjskich szczytów znaleźć złotą żyłę?

Michał Kochańczyk